USA zdradzają oznaki coraz większego zainteresowania Pacyfikiem. W przyszłości będą za pewne chętniej chronić Azjatów przed Chinami niż środkowych Europejczyków przed Rosją.

Ze względu na wydarzenia na Ukrainie zeszłotygodniowa wizyta prezydenta Baracka Obamy w Azji nie była w Polsce komentowana. Trochę szkoda, bowiem wizyta amerykańskiego prezydenta (którego uważamy za gwaranta bezpieczeństwa) w Japonii, Korei Płd., Malezji i Filipinach nie da się, w czasach globalizacji Pax Americana, oddzielić od sytuacji na Ukrainie. Od tego, jak bardzo USA będą zaangażowane w Pacyfik i tamtejszy region świata, zależy to, w jakim stopniu Stany będą się angażować w rozwój sytuacji na Ukrainie.

Zdumiało mnie też, iż wielu komentatorów i ekspertów, których nierzadko bardzo cenię, kwestionowało amerykański zwrot ku Azji („American pivot to Asia"). Jedni zdawali się go w ogóle nie zauważać, inni twierdzili, że w obliczu agresji Rosji na Krym jest już nieaktualny, jeszcze inni bagatelizowali jego znaczenie.

Istotnie, z efektywnością zadeklarowanego zwrotu ku Azji są pewne trudności – Syria, Bliski Wschód, teraz Ukraina. Nie zmienia to jednak faktu, iż „zwrot" postępuje. I azjatycka wizyta Obamy jest jego pełnym potwierdzeniem.

Przypomnijmy choćby 6 punktów z artykułu H. Clinton opublikowanego w 2011 r. w „Foreign Policy": wzmacnianie relacji bilateralnych dotyczących bezpieczeństwa, pogłębianie współpracy z rosnącymi potęgami (Chiny), zaangażowanie w regionalne i multilateralne inicjatywy, promocja amerykańskiego handlu i inwestycji w regionie, utrzymywanie i powiększanie obecności wojskowej, promocja praw człowieka i demokracji.

Pozostaw to pole puste, jeśli jesteś człowiekiem:

Jeśli spojrzymy na to, co robił Obama w Azji, to będzie to niemal dokładnie realizacja punktów Clinton.

Po pierwsze, starał się zrównoważyć wpływy Chin, być może najważniejszego kraju z punktu widzenia całej wizyty, chociaż niewizytowanego. Obama we wszystkich azjatyckich stolicach mówił bowiem mniej więcej to, co w Tokio – podkreślał, że

Chiny muszą przestrzegać międzynarodowych norm i reguł.

Po drugie, gospodarka. Prezydent promował „Trans-Pacific Partnership" (Partnerstwo Transpacyficzne) – regionalną organizację multilateralną wykluczającą Chiny. Obama zapewniał przy tym sojuszników, zwłaszcza Japonię, że USA są obecne w regionie („Ameryka jest i będzie krajem Pacyfiku"). Promował też współpracę ekonomiczną. Choć republikańska opozycja oskarżała go, iż skończy się jedynie na deklaracjach.

Po trzecie, podniesienie morale stacjonujących wojsk poprzez wizyty w bazach i spotkania z żołnierzami (mogą być potrzebni). Niepokojący może być naturalnie także fakt, iż Amerykanie zredukowali budżet obronny o blisko 7 proc. Należy jednak pamiętać, że w najmniejszym stopniu ta redukcja osłabi ich na Dalekim Wschodzie. Ewidentnie widać natomiast, że będzie im bardzo trudno grać na dwa fronty (tj. w Europie i w Azji, nie mówiąc o Bliskim Wschodzie czy innych regionach świata).

Azja jest dużo atrakcyjniejsza, a jej konsumenci mają znacznie zasobniejsze portfele. Kupią i zapłacą za amerykańskie produkty więcej niż środkowi Europejczyc.

Po czwarte, nastąpiła przełomowa wizyta w Malezji, która została wyśmiana przez Joshuę Kurlantzicka jako bezsensowna. Zdaniem tego wpływowego komentatora Malezja nie nadaje się do TPP, nie chce się reformować, w dodatku łamie prawa człowieka, np. wtrącając do więzienia lidera opozycji pod pretekstem… sodomii. Tyle tylko, że w czasach „zwrotu" pozyskanie sojusznika w regionie czy nawet zapewnienie sobie życzliwej neutralności danego kraju mogą być na wagę złota.

Amerykanie już dokonali rewolucyjnej zmiany w swojej polityce wobec Birmy, która po kilkudziesięciu latach izolacji przez Zachód niebezpiecznie zbliżyła się do Chin. Teraz mogą zrobić to samo w stosunku do Malezji, przymykając przy tym oko na pewne „niedostatki". Niedawno wszak doszło do pierwszej w historii wizyty prezydenta USA w Birmie, a w Malezji do pierwszej od lat pięćdziesięciu.

Patrząc na całą sprawę z perspektywy polskiej, nie należy popadać w panikę. Z pewnością nie mamy do czynienia ze „scenariuszem dezintegracyjnym" (nazwa pochodzi z Białej Księgi BBN), w którym w kwestii bezpieczeństwa Polska byłaby zdana wyłącznie na siebie. Ameryka to gwarant naszego bezpieczeństwa i nadal jest hegemonem. Zdradza jednak coraz większe zainteresowanie Pacyfikiem. Może to oznaczać, iż w perspektywie dekady czy dwóch nie będzie w stanie angażować się

zbytnio w wydarzenia w Europie Centralnej.

Powody, dla których Amerykanie będą bardziej chcieli współpracować z Azjatami i chronić ich przed Chinami, a nie środkowych Europejczyków przed Rosją, są dwa:

Pierwszy to taki, że Rosja, nawet jeśli utrzyma status mocarstwa, będzie mocarstwem wagi średniej, które nigdy nie będzie w stanie zagrozić hegemonii Ameryki. Jeśli zaś Chiny uporają się z problemami wewnętrznymi, ich potencjał skazuje je wręcz na rywalizację z USA.

Drugi powód to coraz liczniejsza, bogatsza i dynamicznie rozwijająca się azjatycka klasa średnia. Myśląc o amerykańskim eksporcie i inwestycjach, nie sposób nie zauważyć, że Azja jest dużo atrakcyjniejsza, a jej konsumenci mają znacznie zasobniejsze portfele. By zrozumieć dynamikę wydarzeń na Ukrainie, warto więc czasami obejrzeć coś więcej niż tylko kolejną relację ze Słowiańska.

Źródło: Nowa Konfederacja. Czytaj dalej…